

***Mała ojczyzna (Heimat) jako prawo
i obowiązek – wyzwania w europejskim
kontekście***

Wykład na spotkaniu regionalnym (Heimat-
streffen) w Gummersnach – Zielone Świątki
2015

I

Eberhard Reuter, nasz ojcowski i dyskretnie działający na drugim planie przewodnik, poprosił mnie o to, abym dzisiaj powiedział kilka słów. Dziękuję mu za okazane zaufanie oraz za to, że wspaniałomyślnie przeoczył fakt, że jestem dzisiaj po raz pierwszy w Gummersbach, tak więc jestem na naszym spotkaniu regionalnym osobą stojącą raczej z boku.

Dwie okazje wspomnieniowe skłoniły nas ku temu, że się spotkaliśmy w tym roku:

1. 30. spotkanie regionalne w przeciągu 60 lat, które odbywa się w powiecie Oberberg i mieście Gummersbach, za co należy być niezmiernie wdzięcznym.
2. Wszechobecne wspomnienie o 70. rocznicy zakończenia II wojny światowej.

Obie rocznice są warte tego, aby je obchodzono. Ale jeszcze ważniejsze jest spojrzenie w przyszłość. Stało się jasne, że nadchodzi zmiana pokoleń, która moim zdaniem wprowadzi na długie lata istotną, bardziej skuteczną koncepcję naszych spotkań regionalnych. Ostatni świadkowie czasu wkraczają właśnie na ostatnią prostą swojego życia lub nawet osiągają ten cel. Jaka będzie więc przyszłość?

Moje wystąpienie składa się z trzech części. Najpierw chcę wrócić do czasów sprzed 70 laty, które przeżyłem w Lęborku, ponieważ mój ojciec nie chciał opuścić swojej parafii. Potem chcę wrócić do współczesności, aby odnieść się krytycznie do pojęcia „mała ojczyzna” (*Heimat*) w kontekście mojej biografii. Na koniec chcę spojrzeć w przyszłość, aby zadać pytanie, jak stary problem wspomnienia o naszym pochodzeniu sprowadzić do europejskiego zadania wspólnoty, innymi słowy jak sama Europa może stać się „małą ojczyzną” pomiędzy narodami.

II

Najpierw wspomnienia. Na początku przyznaję, że należę do tych ludzi, którzy dzień 8 maja 1945 roku także (!) przeżyli jako wyzwolenie, w tym sensie, jak ujął to

prezydent Niemiec Weizsäcker w słynnej mowie z okazji 40. rocznicy zakończenia wojny w 1945 roku. Wiem, że inni ten dzień przeżyli zupełnie inaczej. Jest jednak dla mnie ważne, aby Państwo najpierw to wiedzieli, zanim pewne akcenty mego wystąpienia nie zostaną fałszywie zrozumiane.

Pełne cierpienie przeżycia z marca i kwietnia 1945 roku pozwoliły nam, pozostającym w Łęborku Niemcom, doświadczyć tego, czym jest apokalipsa. Pałace się tygodniami wokół nas miasto, przepelniony uciekinierami dom pastora, wszechobecny głód, brak prądu, a przede wszystkim gwałty, samobójstwa i stałe zagrożenie ze strony pijanych żołnierzy Armii Czerwonej uzbrojonych w karabiny maszynowe oznaczały dla nas stałą i bezbronną bliskość śmierci. I to przez 8 tygodni. Wydarzenia te w wielu aspektach odcisnęły piętno na moim późniejszym życiu. Ten wówczas 15-latek, którym byłem, tylko dlatego mógł jakoś przeżyć tę traumę, ponieważ miał szczęście posiadania stabilnej rodziny, a tragiczne doświadczenia mógł znieść także dosłownie dzięki modlitwie.

Początek maja 1945 roku przebiegał w relatywnej normalności. Widocznym znakiem było wydanie przez rosyjską komendanturę miasta pozwolenia na odbywanie się w naszym ewangelickim kościele św. Salwatora mszy w języku niemieckim. Było to jednocześnie początkiem oczekiwań, które formułował nieoficjalny, ale konkretnie istniejący samorząd mniejszości niemieckiej wobec polskiej i rosyjskiej władzy. Mój ojciec wykonywał usługi kapłana w trzech dzielnicach miasta i siłą rzeczy był także rzecznikiem niemieckiej ludności. Plebania pastora przy ówczesnym placu Horsta-Wessela 5 wyznaczona została na centrum tej aktywności, co bardzo niepokoiło centralę GPU w sąsiedztwie.

Partnerami załatwiania spraw byli dla niemieckiej ludności rosyjska komendantura miejska i polskie starostwo, a więc nie polski burmistrz miasta. Kooperację z oboma ośrodkami władzy mój ojciec określał jako zaskakująco rzeczową. W przeciwieństwie do tego stosunki Polaków i Rosjan były bardzo złe. Dochodziło często pomiędzy obiema stronami do nocnych wymian ognia i rękoczynów na ulicy. Nieraz nasza doświadczona niemiecka pielęgniarka musiała opatrywać rany. Katyń i zdrada Armii Czerwonej w obliczu powstania warszawskiego stanowiły przyczynę wrogości pomiędzy Polakami i Rosjanami.

Natomiast negocjacje mojego ojca z oddelegowanym do kontaktu z ludnością niemiecką rosyjskim majorem Novotnym były odpowiedzialne. Chodziło przede wszystkim o zboże na produkcję chleba dla niemieckiego domu starców, w którym od stycznia 1946 sami byliśmy zakwaterowani. Ojciec był zaintrygowany kulturalnym Rosjaninem „starej gwardii”.

Także polski starosta podjął wkrótce z nami kontakt. Zostałem u niego listonoszem. Rada Powiatowa zainicjowała powstanie złożonej z Niemców komisji kontrolującej położenie pozostałych w mieście i powiecie ok. 19 000 Niemców oraz przygotowującej „ewakuację” (jak to zostało łagodnie nazwane). Miała ona pomimo wyłączenia i wypędzenia przebiegać w sposób możliwy do zniesienia, czego w pełni mogliśmy doświadczyć rok później w podczas naszego transportu do Niemiec. Czy ta komisja choć jeden raz obradowała – muszę jednak powątpiewać, ponieważ dowiedzieliśmy się o terminie naszego wysiedlenia z Łęborka, wyznaczonym na 10 maja 1946 roku, drogą nieoficjalną, a mianowicie w formie ostrzeżenia, które przekazał nam na trzy dni przed tą datą jeden zaprzyjaźniony Polak z miejskiej administracji.

6 maja 1945 roku była piąta niedziela po Świątach Wielkanocnych, dwa dni przed kapitulacją. Po raz pierwszy zabrzmiały dzwony kościoła św. Salwatora ponad tym okaleczonym miastem i wezwały około 700 Niemców, częściowo przybyłych z dalszej okolicy, na pierwszą mszę prowadzoną w języku niemieckim. Mój ojciec wygłaszał kazanie, ja akompaniowałem podczas śpiewu chorałowego na naprędcie przywiezionej fisharmonii pedałowej, która należała do diakona parafii, ponieważ organy kościelne były zdemolowane. Ta niedziela była dla nas wydarzeniem. Mogliśmy znowu zgromadzić się we wspólnocie, prowadzić normalne życie, śpiewać niemieckie pieśni, słuchać niemieckiego kazania, bez kontroli i moralnej presji. W całym powiecie można było odtąd prowadzić niemieckie msze święte (*Konfirmation Saulin*). Doznaliśmy uczucia wspólnoty jako „my”. Codziennie o ósmej rano znowu brzmiały dzwony św. Salwatora. Mówiono, że Polacy po ich usłyszeniu regulowali sobie zegarki. Towarzyszyły nam marzenia, w które (nawnie) wierzone, np. w to, że Wehrmacht znowu nas wyzwoli albo że chociaż będziemy mogli pozostać w swojej małej ojczyźnie i żyć tam jako Niemcy. Jak ogólnie wiadomo, stało się inaczej.

Po tzw. dekretach Bieruta, które zaakceptowali alianci, zostały przygotowane wielkie transporty. Także my musieliśmy 10 maja 1946 roku (a więc od teraz przed 69 laty) razem z wieloma starymi, chorymi i kalekimi ludźmi opuścić Lębork. Polski starosta był obecny ponad 3 godziny na dworcu i starał się o zachowanie porządku. Pięciu uzbrojonych milicjantów stanowiło dla nas ochronę przed bandami przy linii kolejowej, szczególnie w okolicach Potęgowa. Starosta zaproponował nawet mojemu ojcu, aby pojechał jeszcze raz z nim do naszego mieszkania, aby móc zabrać to, co mogło tam zostać, a było potrzebne. Przypominam sobie, jak wtedy mówiliśmy o tym, że jedziemy teraz do Niemiec „do domu”, tak jakbyśmy do tej pory żyli za granicą. Być może było to tylko wspomnienie o towarzyszach cierpienia z krajów bałtyckich, którzy doznali przeżyć podobnego losu przed siedmioma laty¹.

Gdy ruszył pociąg, nikt już nie wierzył, że kiedykolwiek jeszcze zobaczy swoje rodzinne miasto. Kiedy po 10 dniach przybyliśmy na dworzec w Lubece, jeden z nas zaintonował chorał *Nun danket alle Gott*, a pozostali przyłączyli się ze swoim śpiewem, który wypełnił zniszczoną halę dworcową. Zabrzmiało to tak, jak gdybyśmy przybyli do prawdziwej ojczyzny na Zachodzie w Niemczech. Odczuwało się osobliwą ambiwalencję.

II

Ze wspomnienia zatem w terażniejszość. Proponuję, abyśmy się zastanowili nad tym, co nazywamy „małą ojczyzną” (*Heimat*). Przez dziesiątki lat należało to do polityki wypędzonych, że „mała ojczyzna” musi pozostać żywa w świadomości oraz że nie wolno jej porzucić. Przeciwno temu nikt nie mógł wiele powiedzieć. Czym jednak jest ta refleksja nad *Heimatem*, jeśli się, tak jak ja, było niepewnym, czym właściwie

¹¹ Przesiedlenia tzw. Niemców bałtyckich na tereny państwa niemieckiego oraz tereny zagarnięte po upadku Polski były realizowane w latach 1939-1941 jako wynik porozumienia Ribbentrop-Mołotow. Szerzej na ten temat w: *Die Umsiedlung der Deutsch-Balten aus Estland und Lettland 1939-1941: Dokumentation*, Karl Wachholtz Verlag, Kiel 1972.

jest ta stara „mała ojczyzna”, zwłaszcza, że się już dawno znalazło nową? Moje wrażenie jest takie, że zostało utrwalone dominujące pojęcie *Heimatu*, które kojarzy się z chłopską uprawą roli. Ignoruje ono doświadczenia związane z innymi grupami społecznymi i zawodowymi.

Dlatego muszę przyznać, że miałem zawsze trudności z generalizacją pojęcia *Heimat* w środowiskach ziomkowskich. Przeszkadzało mi przy tym przede wszystkim nasylenie tego pojęcia nostalgią wspomnień oraz iluzją ukrytej nadziei na powrót, jednocześnie żądając, że nie wolno porzucić *Heimatu*.

W moim życiu nie zaznałem tego, co wiąże się z takim prostoliniowym pojęciem *Heimatu*, ponieważ przyzwyczailem się raczej do wędrownego trybu życia. Jako urodzony wrocławianin spędziłem następnych 7 lat w różnych miejscowościach Śląska, następnie 8 lat na Pomorzu, 5 lat w Schleswig-Holstein, 20 lat w Hamburgu, potem znowu 20 lat w Lippe-Detmold, a na koniec po dziś dzień dwie dekady w okolicy Hamburga. W jaki więc sposób mogła się we mnie wytworzyć więź z *Heimatem*? Raczej żyłem w permanentnym poczuciu braku *Heimatu*, ponieważ musiałem często zmieniać miejsce zamieszkania, stale żegnając się z każdym z nich.

Można by traktować to doświadczenie pożegnania jako wczesne przygotowanie duchowe do tego, co mój ojciec często w niedzielę w kościele jako pastor wygłaszał: „Nie mamy tutaj trwałego miasta, ale szukamy tego, które ma przyjsć”².

Jeśli istniało dla mnie w ogóle jakieś *Heimat*, to najbliżej jest mi do korzeni, skąd pochodzę. Tam, gdzie ktoś po raz pierwszy powiedział do mnie „Ty”. Tam, gdzie owe matczyne i ojcowskie „Ty” po raz pierwszy odczułem jako niejasne doświadczenie „ja”. Tam, gdzie można było odczuć owe ochronne „my” w kręgu rodziny i przyjaciół, które stanowiło potwierdzenie lub wczesne rozczarowanie dziecięcego pierwotnego zaufania. Tak, rozczarowanie, wprawdzie nie w rodzinie, ale poprzez polityczne doświadczenia. Mój ojciec, który zaangażował się przeciwko ujednoczeniu religii i polityki podczas dyktatury nazistowskiej, był w domu przez miesiąc przesłuchiwany przez policję i gestapo, a następnie z początkiem 1935 roku musiał nawet iść do więzienia. Było to dla mnie jako dziecka bardzo traumatyczne doświadczenie. Do tego doszły w roku 1936 ćwiczenia przeciwlotnicze, które sześciolatka całkowicie przerażały, ponieważ nie mógł on sobie tych zdarzeń racjonalnie wytłumaczyć.

Ten duchowy krajobraz łączył się z realną naturą wysokich gór, których skaliste zbocza i rwące strumienie rozwijały w dziecku niemalże mistyczną siłę. I kiedy w wieku siedmiu lat znowu musiałem opuścić ten świat, pożegnanie to było dla nas dzieci tak bolesne, że prześladowało mnie przez lata we śnie. A było to przecież nie w roku 1945, ale 8 lat wcześniej – w 1937.

Jestem wdzięczny, że mogłem wyciszyć tę tęsknotę za moimi śląskimi korzeniami dziesiątki lat później podczas licznych podróży przed przełomem politycznym i po nim w 1989 r. W odróżnieniu od wielu innych temu ponownemu spotkaniu z tą ziemią nigdy nie nigdy nie towarzyszyły uczucia goryczy i bólu za utraceniem, ale pełne napięcia poszukiwanie własnego pochodzenia, a także ponowne spotkanie siebie samego. Tak więc miał ten „powrót do domu” jasne kolory czegoś „ponownie odzyskanego”. Tutaj wszystko się zaczęło. Tutaj chodziłem do szkoły. Tutaj rodziły się pierwsze młodzieńcze uczucia zakochania. Ślady, które pomiędzy innymi należą tylko do mnie.

² List do Hebrajczyków 13, 14. Por.: *Pismo Święte Nowego Testamentu*, Lublin 2000, s. 864.

Moi przyjaciele z Lęborka zapytają pewnie: A co z Pomorzem, z powodu którego także tu przyjeżdżasz? Mogę tylko odpowiedzieć: tereny Pomorza nie są moimi korzeniami. Rosyjskie przysłowie mówi: Pierwsza ojczyzna jest Twoją matką, druga teściową. Ale także i tę cenilem: ofiarowała mi przyjaciół, którzy także po części są między nami. Czy Lębork czy Itzehoe, Hamburg czy Gdańsk, Wrocław lub Kraków – wszystkie należą do mnie jednocześnie jako kolorowa mapa historii mojego życia. Także w Polsce mam przyjaciół i cenię ich tak, jak i wspaniale znowu odbudowane miasta. Publikuję w tamtejszych czasopiśmie specjalistycznych, mam wykłady podczas niemiecko-polskich konferencji i wspominam chętnie młodego polskiego studenta teologii, którego w latach siedemdziesiątych ubiegłego stulecia zabraliśmy własnym samochodem z Wrocławia do Krakowa i Oświęcimia, i który się troskliwie nami opiekował. To było doświadczenie nowego *Heimatu* pośrodku starego.

III

A teraz spojrzenie do przodu. Co dalej?

Przez wiele lat nasze spotkania regionalne i polityczne konferencje związków wypędzonych na pierwszy plan wysuwały „Prawa Heimatu”. Ten tytuł był jak wiadomo przyjęty już w 1950 roku w Karcie Wypędzonych, chociaż w aspekcie międzynarodowym był dyskusyjny, przede wszystkim ze względu na zawarte w dokumencie roszczenia wobec praw człowieka.

Aktualnie żyjemy już wszyscy od dawna w nowych *Heimatach* i spoglądamy ponad regionalne i państwowe granice na Europę i Świat. Nasze dzieci podróżują po całym świecie. Uczestniczymy [poprzez media – przyp. tłum.] jak nigdy dotąd w bolesnych dla wszystkich katastrofach i wojnach na globie ziemskim. To jest zupełnie inny świat aniżeli niegdyś to bliskie nam Pomorze z Garczegorzem czy Bożepolem Wielkim.

Ale gdzie mogłoby być nasze *Heimat* pośrodku świata, który jest połączony siecią komunikacji, że my się w tym czujemy już zaplątani. Wszystko na tym świecie zbliżyło się tak bardzo do nas, ale czy to jest nasze *Heimat*? Poprzez telewizor uczestniczymy w katastrofach tego świata i coraz bardziej odczuwamy, jak jesteśmy bezsilni, aby móc się uchronić przed tym, co złe.

Byłoby sukcesem, gdybyśmy mogli zaznać Europy jako modelowej wyspy pokoju o jeden kawałek dalej niż nasze *Heimat*. Natomiast jesteśmy wyraźnie o cały kawałek bardziej oddaleni, przede wszystkim dlatego, że naszemu kontynentowi ciągle zdaje się brakować spojrzenia do wewnątrz. Można powiedzieć także: „dusza” Europy jest niedożywiona. To, co chcemy kochać, potrzebuje właśnie tej duszy. Nie można kochać tworu utrwalonego przez banki i giełdę. Głos za tym wewnętrznym życiem Europy jest jednak coraz głośniejszy. Dla mnie doświadczenie tragicznej katastrofy samolotu German-Wings było najbardziej wyraźnym sygnałem. Sięgająca poza granice tak oczywista pomoc ofiarom, która została udzielona po tym okropnym wydarzeniu pozwoliła trochę lepiej rozpoznać, co to może oznaczać, że widzimy i dostrzegamy „duszę Europy”. Kontynent stał się nagle czymś więcej niż tylko Brukselą i Strassburgiem. Było w tym powstanie obustronnej solidarności i odczuwania wspólnoty. Katedrę w Kolonii wyznaczono na miejsce ceremonii pogrzebo-

wej ofiar, która odbyła się 17 kwietnia 2015 roku. Przybyłem (symbolicznie) do Europy i czułem się w niej jak „u siebie” w domu.

Więcej także: wspólna, kulturowa pamięć Europy otrzymała pożywienie (duchową strawę). Jeśli nie otrzymuje się pożywienia, można wszystko stracić, przegrać. A kto przegrywa, zostaje zapomniany. Trzy zdania (tezy) mogą wzmocnić tę pamięć:

Po pierwsze: „Nie zapominaj tego, co Twoje, abyś nie stracił swojej tożsamości!”

Po drugie: „Uważaj na to, aby nigdy więcej nie powtórzyło się to, co nigdy nie powinno się zdarzyć”.

I po trzecie: „Myśl o tym, że wspólne dobro osiągniemy poprzez działanie razem”.

Te trzy memoria wydają mi się tylko dlatego możliwe do osiągnięcia w przyszłości, ponieważ negują prosty schemat sprawca–ofiara. Obaj stoją teraz na jednym fundamencie wspólnoty losu i odpowiedzialności, których to wartości nauczyli się z przeszłości i wiedzą, że tylko pojednanie może otworzyć drogę do przyszłości.

Tak przekształca się niegdysiejsze motto „Prawa do Heimatu” w „Obowiązek wspólnej pamięci jako wspólnego europejskiego zadania”. Ta nowa droga zaczyna się irytującym pytaniem wnuka: „Dziadku, powiedz, dlaczego urodziłeś się w Polsce, a nie w Niemczech?” i kończy świadomością doświadczenia winy, które już nie dzieli, ale łączy i spaja.

Na koniec osobiste doświadczenie:

Był kwiecień 1945 roku. Pewien żołnierz Armii Czerwonej siedział koło mnie z wieloma innymi na ciężarówce, wiozła nas z powrotem do miasta po wykonaniu prac porządkowych w byłych koszarach SS. Czuję, że żołnierz przygląda mi się ciągle z boku. Potem zaczyna do mnie nieustannie mówić łamiącym się głosem. Mówi mi, że przypominam mu własnego syna, którego nie widział już od trzech lat. Po jego policzkach płynęły łzy. Przy pożegnaniu schylił się w moją stronę i pocałował mnie po ojcowsku w czoło. Pocałunek od Czerwonoarmisty!

Proszę nie interpretować tego jako sentymentalizm. W tym momencie załamał się we mnie wcześniej ukształtowany schemat wróg–przyjaciel. Było to wspólne cierpienie w czasie wojny, której żaden z nas nie chciał, a która rozpętała się jak tsunami.

Także fakt, że polska nauczycielka szkoły podstawowej przyszła ze swoimi ośmioletnimi uczniami na uroczystość poświęcenia tablicy pamięci na starym cmentarzu w Lęborku latem 2008 roku oraz to, że dzieci położyły kwiaty i obiecały pielęgnować to miejsce w przyszłości, uważam za piękny znak tej nowej drogi, która jest przed nami.

I jeszcze jedno jest teraz ważne: stworzyć miejsca pojednania i uczynić je ważnymi dla nowych generacji, które nasze doświadczenia cierpienia znają ledwie z obrazów i książek. Inspirująca w tym kontekście jest inicjatywa trójkąta weimarskiego, gdzie nie tylko praktykuje się polityczną wymianę ministrów spraw zagranicznych Francji, Polski i Niemiec, ale także realizuje się intensywny program spotkań dzieci i młodzieży. Czy nie można by było przenieść tego modelu na przyszłe formy spotkań regionalnych? Dlaczego nie miałyby niemiecka, polska i francuska młodzież wspólnie pielęgnować cmentarzy niemieckich żołnierzy albo pod opieką dorosłych na nowo ukształtować? I czy nie można tak zrobić, by święta 8 maja, 1 września lub 3 października stały się rzeczywistością, aby dni te zyskały wyraźniejsze barwy?

Kończę wyznaniem rumuńskiego pisarza i tegorocznego (2015) laureata nagrody za książkę w Lipsku, Mircei Cartarescu (ur. 1956), które wywarło na mnie wrażenie, dodało nam, markotnym Europejczykom, nieco odwagi:

„Czuję się europejskim pisarzem. Wzrastałem w wielkiej tradycji europejskiej kultury i rozumiem między innymi antyk grecko-żydowski, który opiera się na greckiej filozofii i Biblii. To wspaniała tradycja. Jestem dumny, że do niej należę”.

Jest to zatem wyznanie dotyczące Europy jako *Heimatu*. Coś takiego chętnie bym usłyszał częściej u nas – ponieważ jest to nasza przyszłość, a dokładniej: naszych dzieci i wnuków.

Karl Heinrich Ehrenforth
Hochschule für Musik Detmold
tłum. Jarosław Chaciński

